

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

SPIJ MOJE ZŁOTO!

Spij, moje złoto — śpiewała
Kołysząc matka swe dziecię.
Spij, moja nadziejo cała,
Moje ty życie.

Usnęło. Słabe nieboże,
Dosyć się, dosyć splotało;
Po płaczu lepiej też może
Będzie mi spało.

Dziecię! o ileż to biedy
Matczyzna znieść musi głowa,
Nim się pociecha jej kładzie
Z ciebie wychowa.

Ileż ja z czasem odbiorę
Miłej mi za to wdzięczności,
Gdy z ciebie uznaję podpórę
Mojej starości.

Gdy więc i sercem i głową
Nie dasz przodować nikomu,
Przydając coraz cześć nową
Dla twego domu.

Gdy się kraj cały zdumiewać
Nad każdym twej cnoty czynem,
A sława będzie mi śpiewać,
Żeś moim synem!

Kto wie, co jeszcze być może!
Ach! sztylet serce przenika,
Poczwara jakaś, o Boże,
Staje mi dzika!

Może to nikczemnik jaki,
Co ma swe imię znieważać,
Lub na postępek wszelaki
Niecnoty zażyć?

Wstydu on mego przyczyna,
A może i śmierci jeszcze,
Gdy ujrzę niewdzięcznym syna,
Którego pieścić.

Tażby nagroda, i ta mi
Pociecha z ciebie być miała?
Rzekła i oczy swe łzami
Gorzko zalała.

Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy)

I pan Kaliński zbiegł czempredzej do odzwiernego, lecz tu z wielkiem rozczarowaniem dowiedział się, że Kincel opuścił hotel przed dwoma dniami i wyjechał niewiadomo dokąd.

— Wyślizguje mi się z rąk jak wąż — powiedział sobie z gniewem pan Kaliński — ale przecie może go spotkam jeszcze kiedy.

Wszystkie te wiadomości i wrażenia mocno zafrasowały pana Kalińskiego, który sam nie wiedział co dalej robić: czy zwiedzać jeszcze znaczniejsze miasta portowe, gdzie miał nadzieję usłyszenia czegoś o ojcu Jasia, czy też wracać do kraju i czekać cierpliwie, co los przyniesie?

Po dłuższej rozwadze pan Kaliński postanowił podróżować jeszcze czas jakiś, z nadzieją spotkania pana Drzewińskiego.

— Że też to nie dowiedziałem się czegoś więcej o tym Kincelu.

Ale na to nie było rady; już tylko kilka dni pan Kaliński miał pozostać w Kolonii, zkąd chciał się udać do Tryestu.

— Tam mnóstwo przyplywa okrętów — mówił do Jasia — może który z nich przywiezie nam wieści o twoim ojcu.

Przed wyjazdem pan Kaliński chciał jeszcze raz zobaczyć katedrę i w tym celu wsiadł z Jasiem do tramwaju,

— Czy mnie oczy nie mylą! — zawołał spojrzawszy na drugą ławkę — a toż to Kincel we własnej osobie!

— Tak, to on! — szepnął Jasio, tuląc się do swego opiekuna.

Kincel także ich spostrzegł; podniósł się szybko z ławki, z zamiarem wyskoczenia z tramwaju, lecz pan Kaliński położył mu rękę na ramieniu.

— Znałeś pan pana Drzewińskiego? — zapytał po niemiecku.

— Znałem, to jest tak... znałem go bardzo mało! — bąkał niezrozumiale, mocno pomieszany.

— Gdzie się pan z nim spotykałeś!

Kincel wahał się.

— Nie pamiętam — odparł po chwili — czy to rzecz tak ważna.

— Spotykałeś się pan z nim w Berlinie.

— Hm, tak, być może w Berlinie... nie pamiętam...

— Dziwna rzecz, że pan masz taką krótką

pamięć. A nazwiska bankiera, u którego mieliście interesa, także pan nie pamiętasz?

Kincel zadrżał.

— Jakiego bankiera? Ja żadnego bankiera nie znam — odrzekł i korzystając z chwilowego przystanku tramwajowego, wyskoczył z wagonu i skręcił szybko w najbliższą poprzeczną ulicę.

Pkn Kaliński wysiadł także z Jasiem, chcąc podążyć za uciekającym, lecz skoro doszli do rogu wyżej wspomnianej uliczki, już Kincela stracili z oczu.

— Napróżno byśmy go szukali, mój Jasiu! — rzekł pan Kaliński — on się tam dobrze skrył w jakiejś dziurze.

Jeszcze przez kilka dni pan Kaliński zwiedzał rozmaite dzielnice miasta, ale Kincela już nigdzie nie spotkał; przepadł, jak kamień w wodę.

— Jutro wyjeżdżamy już z Kolonii — powiedział jednego wieczoru pan Kaliński — trudno tu siedzieć dłużej, muszę tylko napisać do mego przyjaciela i podać mu adresy miejscowości, do których się udajemy, aby w razie jakiegokolwiek wiadomości wiedział, gdzie mnie szukać.

— Cała ta sprawa jest dla mnie ciemną, zawiłą zagadką — powiedział sobie w duchu pan Kaliński — oby tylko Bóg dał, żeby się na korzyść mojego Jasia wyjaśniła.

Pan Kaliński jeszcze przez kilka dni szukał Kincela, ale go nigdzie znaleźć nie mógł, ani nawet dopytać się o niego.

— Jutro wyjeżdżamy z Kolonii — rzekł jednego rana do Jasia. — Jedziemy do Tryestu.

— Czy tam spotkamy tatusia? — zapytał z żywością Jasio.

— Nie wiem, mój chłopcze! — odparł pan Kaliński, który już zaczął tracić nadzieję co do odnalezienia pana Drzewińskiego.

Jasio zasmucił się, ale nie miał czasu długo zastanawiać się nad swoim zmartwieniem, gdyż pan Kaliński polecił mu, aby starannie pozbiierał wszystkie drobiazgi i ułożył je na stole, dla łatwiejszego zapakowania ich w walizę.

Nazajutrz raniutko opuścili Kolonię. Kolej żelazna prowadziła przez takie śliczne okolice, że Jasio nie odstępował ani na chwilę od okna wagonu. Przejechali tak kilka stacyi. Jasio poznał się z jakimś chłopczykiem, który podróżował z mamą. Południe zbliżało się.

— Jestem porządnie głodny — rzekł pan Kaliński do Jasia — i tobie także pewno jeść się chce. Nie mamy dziś ze sobą żadnych zapasów żywności, muszę zatem wysiąść na najbliższej

stacy i kupić jakąś przekąskę. Zdaje mi się, że teraz właśnie pociąg zatrzyma się kilka minut dłużej.

Przy tych słowach opiekun Jasia zajął do przewodnika kolejowego.

— Tak, tu będzie można coś zjeść — dodał — a prawie w tej samej chwili dał się słyszeć świst lokomotywy i pociąg zaczął zwalniać biegu.

— Pozostań w wagonie — rzekł pan Kaliński do Jasia — kupię na stacy zimnego mięsa, bułeczek i wrócę do ciebie.

Pan Kaliński wysiadł z pośpiechem, a Jaś jak najspokojniej wyglądał oknem. Na stacy panna zgiełk i ruch nie do opisania, gdyż ztąd rozchodziło się właśnie kilka pociągów. Jaś przypatrywał się z zajęciem zamieszaniu i pośpiechowi podróżnych, gdy w tem dał się słyszeć świst i pociąg ruszył. Można więc sobie wyobrazić przestrach Jasia.

(C. d. n.)



Wilk i skowronek.

(Dokończenie.)

Obok nich przyczajony leżał na ziemi stary wilk. Iskrzące się jego oczy nie trwożyły małości bynajmniej. W tem ziemia pod ptaszynami zwolna unosić się poczyną, coraz więcej i więcej — czują nareszcie, że się już ich gniazdko wywraca, piszcza więc przeraźliwie, gdy nagle posłyszaly silne pod sobą uderzenie. Zamilkły z trwogi, ale w tejże chwili siadła przy nich z pokarmem tak długo oczekiwana matka.

— No, już ci więcej szkodzić nie będzie; oto go masz tego nieprzyjaciela twego — odezwał się stojący obok wilk do skowronka i wskazał mu zabitego kreta. Ale teraz dotrzymaj przyrzeczenia. Już mi się też porządnie jeść chce.

Nieposiadający się prawie z radości skowronek, nie mógł się dosyć nadziękować swemu wybawcy.

— Ha! pójdź, — rzecze — czegokolwiek zapragniesz, otrzymasz odemnie.

— Nad to, co dawniej, niczego więcej nie

żadam — odrzekł wilk i postępował dość szybkim krokiem za lecącym skowronkiem.

Przybyli pod wioskę, w której się odbywało wesele.

— Teraz przyjaciela — rzekł skowronek, — trzeba nam ostrożność zachować, żeby nas nie spostrzeżono. Tam w tym wielkim domu obiadują welesnicy, ty się zaczaj pod okno, a uważaj, jak izba będzie próżna... tylko na Boga nie daj się widzieć.

W godowej izbie stał stół, różnemi mięsami zastawiony, w około niego mnóstwo gospodarzy, gospodyń, kumoszek, parobczaków i dziewczek zajaśniało smacznie, kiedy przez roztworzone drzwi wlatuje skowronek.

— A dy go, a-dy go, schwytać tego ptaszka! Porwali się wszyscy, gonią, uprzedzają, a wilk co chwila zagląda oknem, a ślinka z ust mu ciecze.

— Nie daj, nie daj bo uciecze.

Ptak wyleciał do sieni. Dalej wszyscy za nim. I wilk też dłużej nie czekając, buch oknem do chałupy i już zajaść czerninę, pieczeń wołową, schab i placki; w oka mgnieniu był syty, więc powywracawszy wszystko, wyskoczył i — w nogi, mój drogi!

Spostrzegłszy to, baczny skowronek wyleciał także dymicą na dwór.

— A dy, a-dy! bo uciecze, bo uciecze! Masz tedy! Nie mówiłem? A nie było to zatkać tej dziury?

Tak wołali godownicy, kiedy nasi podróżni już dawno byli w zapłotkach.

— Oj, najadłem się porządnie, ale mi się teraz pić chce okropnie.

Przyjeżdża z piwem do weselników parobek. Na smyku spoczywała potężna beczka, piwem napelniona; na niej siedział krzepliwego wieku młodzieniec, leniwo ciągnącego poganiał wołu, a wygwizdywał i śpiewał ochoczo. Aż tu zagnęła usiadł ptak na biczysku. Maciek sięgnie ręką — skowronek uleciał, siada na beczkę. Parobczak, nie wiele myśląc, jak nie utnie toporem, obręcz pękła i wszystko piwo wylało się na drogę, a ptaszek pofrunął. Nie zważa na to zapalony za ptakiem Maciek, goni go, skowronek usiadł na grzbiecie wołowi; chce go schwycić, ptak znów na rogu zwierzęcia siada. Kiedy się tak za nim upędza, już wilk z zapłotcia wyskoczywszy, dobrze się piwa nachlipał i zabiera się do ucieczki. A wtém spostrzegł go Maciek.

— Wilk, wilk! — zaczął więc wołać — chwytać go!

